

EMIL KWAŚNY.

ŻEGNAJ...!!

Stała przed morzem szyn kolejowych...

Stuk maszyn, zgrzyt piekielny kół, syk pary z kotłów — nie oszalała i nie trwożyła jej tak, jak lęk tego słowa... Żegnaj...!!

Stała — przepiękna — ubrana elegancko, bez przeładowania, wytwornie.

Od czarnej, jedwabnej sukni, która kryła przepyszne kształty jej ciała i zaginała się klasyczną pięknoscią jego linii — odbijał się drobny, cudny owal twarzyczki o głębokich i w wielkim smutku pograżonych oczach.

Pierś krążyła i bujna falowała tak szybko, jak bije serce schwytanego ptaka.

Niewielka wiązanka kwiatów drżała w jej drobnych paluszkach.

Myślała odbiegła daleko...

Uciekła myślą od tego potwora, którego w jej oczach kanonierzy dźwigniami na ciężkie ładowali wozy, a którym „On“ miał kierować... dowodzić.

Na „Jego“ rozkaz miał ten potwór o średnicy 42 cm. wyrzucać piekło ognia, grzmotu, lawę żelazną ze swego wnętrza, z paszczy...

„On“ miał mordować w sekundzie setki ludzi, drzeć w strzępy, siać mord i zniszczenie...

„On“ — którego całe życie składało się z najszlachetniejszych porywów serca, myśli, czynu...

„On“ — co jeszcze przed chwilą, przytulony do jej piersi — szeptał nadziejskie słowa miłości...

Mała główka ciężyla jej strasznie... jak kopuła z miedzi... gięła się jej postać, jak wiklina, czochrana wiatrem... kołysała się, jak łodyga przecudnego kwiatu pod naporem burzy...

Uciekła na chwilę myślą do swego pokoiku, do tego uroczego kąta, gdzie przed pół rokiem, po zaręczynach, przeżyli tyle cudnych, jasnych chwil... żeby się przekonać, czy potwór ten nie zburzył ich gniazdko, żeby się przekonać, czy to przykry sen... lub jawa...

Jeszcze na parę minut przed odjazdem przycisnął ją do siebie... całował oczy... usta... pieścił... był jej błogiem szczęściem... a oto nadeszła chwila rozłąki... i stał się niewolnikiem tego potwora... z piekła rodem...

Drżała przed tym potworem, jak liść, wzrok błędny ginał w jego czeluściach... w paszczy... Zachwiała się... i zdało się, że lada chwila runie z nóg...

Zadzwończyła łańcuchy... zatrzęszczały, jęły żelazne słupy dźwigni... i podniósł się potwór pod naporem wind i stu rąk do góry...

Ludzie o nerwach, jak postronki, truchleli na jego widok, żegnali się ze strachu... a ona... delikatna, pieścić losu, patrzyła, jak na szafot... czekała, rychło potwór wystrzeli strugą serdecznej krwi... rozniesie w puch jej marzenie... szczęście... wysnioną miłość...

Powietrze przeszył przeraźliwy, krótki świst sygnału kolejowego.

Dreszcz wstrząsł jej ciałem... oprzytomniała na chwilę.

Świst, jak strumień zimnej wody, bryzgnął jej w twarz, ale po to, żeby ją znowu huragan myśli zagnał, jak marny, zeschnięty, jesienny liść na pola... nad otwarty grób... Serce jej zamierało... przestawało bić... słyszała stuk grudy o deski, w których grzebano jej miłość... czarowny, przecudny sen... a w uszach jęczały słowa, jak pogrzebowe dzwony: „Żegnaj...!!“ „Za krótki czas... ujrzysz nas...“

Głos tajemniczy, jak anioł śmierci, szeptał jej: „W mogile ciemnej...“

Ocknęła się w jego ramionach...

Ostatni pocałunek... drżący szept: „Żegnaj, ukochana...“

Na to słowo — żegnaj — którego się całe tygodnie lękała, które, jak zmore, odpędzała od siebie, a które prześladowało ją i trapiło bez przerwy, zdawało się jej, że ziemia się rozstąpiła... że leci w straszną, bezdenną przepaść...

Pot zimny, kroplisty wystąpił jej na czoło. Usta drżały... dygotała, jak w strasznej febrze...

Ból okropny rwał jej piersią...

Całym ciężarem swego ciała zawisała w jego ramionach... jak nad przepaścią swego szczęścia... ukochania...

Smutne oczy tonęły we łzach...

Podawała mu usta i wiązankę kwiatów... i mówiła, jak przez sen:

— To wszystko, coś najwięcej ukochał na ziemi, weź ze sobą na daleką drogę...

A wicher jęczał... na drogę wieczności...

— Weź moje usta!... Bo czułam, kiedyś pił z nich, jak z czary niewysłowionego szczęścia i rozkoszy — to chciałeś wnikać w mą pierś... w moje serce...

Weź je ze sobą!

Weź to serce, które cię nad wszystkie skarby świata ukochało... krzep je swą miłością... pieśń i tul... broń, jak słabe ptaszę przed drapieżcą...

Weź te kwiaty, któreś tyle razy pieścił i cisnął do ust. mówiąc, że to moje siostry, z których jestem najpiękniejszą...

Weź moją duszę... moje życie...

Po tobie będzie ono tylko jednym pasmem cierpień... łez... i rozpacz bezbrzeżnej...

Łkała na jego piersi... zlewała jego mundur łzami...

A on... jakby skamieniał z bólu... Gwałtem wstrzymywał łzy, żeby nie pogłębiać jej bólu i rozpacz...

Lokomotywa zaświstała chrapliwym głosem sygnalizacji do odjazdu... Zaturkotały koła... jeszcze jeden uścisk... Wyrwał się jej z objęć i wskoczył do wagonu.

Pociąg znikł...

Deszcz zimny począł mżyć, a ona patrzyła w dal... za pociągiem... stała, jakby jej ciało opanował ciężki, żelazny sen, z którego się nie mogła obudzić.

Głośnie nawoływanie kolejarzy obudziło ją wkońcu z letargu myśli.

Szła samiotętką... z przerażającą pustką w piersi... ślaniała się, jak złośliwą ręką nadłamaną kwiat...

W jej łzach rozpylało się światło lamp kolejowych, migotało, jak w dzień zaduszny na cmentarzu... Podjechała dorożka.

Z trudem usadowiła się w niej. Turkot... i dorożka znikła, tocząc się hałaśliwie po „kocich łbach“ kolejowego bruku.

Na moście, prowadzącym przez Wisłę do Dębni, owiał ją chłód... drżąc i blada skuliła się w dorożce, trzęsła się ze zimna i z bólu.

Za chwilę dorożka zatrzymała się przed piękną, stylową willą w Dębniach.

Wysiadła i, jak duch pokutny, pośród przepysznych kwiecisk kroczyła do willi. Weszła do salonu i rzuciła się na fotel. Wzrok jej utkwiał w portrecie męża.

Po niedługiej chwili — z bólu i rozpacz — ogarnął ją ciężki sen...

Uchyliły się cicho drzwi salonu, wszedł ojciec Heleny, pensjonowany nadzorca.

Popatrzył na spiącą, pokiwał głową i odszedł w milczeniu.

Kroki jego głuszył kosztowny perski dywan. Przeszedł przez szereg wykwinie umebrowanych pokoi i zamknął za sobą drzwi, prowadzące do pokoju myśliwskiego.

Przepyszne okazy wypchanych ptaków, rogi, bogata kolekcja broni i obrazów pierwszorzędnym mistrzów składały się na gustowną, harmonijną całość tegopokoju.

Nerwowo kroczył tam i z powrotem po pokoju, targał siwy, bujny wąs i w rozdrażnieniu sam rozmawiał ze sobą:

— Ta wojna... ta wojna... co wszystko bez litości bierze, niszczy... zalewa nasz kraj, jak zrealizowany potop Sienkiewicza... dotarła i do niej... w pół roku po ślubie... w zaraniu małżeństwa... Biedne dziecko... dziesięć lat żywiło w sercu miłość dla niego po to, żeby go po kilkunastu tygodniach małżeństwa... utracić...

Lękam się o nią... nie przetrzyma tego bólu...

Och! ta wojna... wżera się jak gad jadowity zemstą w naszą pierś... ssie naszą serdeczną krew... przenika nas wizjami, jak palaczy opium... przechodzi w gorączkowe sny... marzenie... tworzy z nas legiony zbrojne... ale i legiony marzycieli z modlitwą błagalną na ustach o „zmartwychwstanie“...

Dłonie naszych bohaterów ściskają kurczowo broń... piersi dyszą zemstą... a oczy świecą fosforem, jak kości naszych przodków, rozprószone na sybirskim szlaku.

Padają... ale po ich trupach idą nowe zastępy w bój zażarty... do ostatniego tchu... do skutku... aż runie tron cara!... rozbijają się w proch pomniki „Murawiewów-Wieszieli“... obelga naszej ziemi...

Z tą wojną nadszedł dzień zemsty i strasznego odwetu za sto lat niewoli, za łzy naszych matek, za ból... za mękę naszego narodu...

Dziś armaty z szalonym rykiem wyrzucają z łona polskiej ziemi kości naszych przodków jak na sądny dzień... na świadectwo piekielnych zbrodni rosyjskich, spełnionych na naszym narodzie...

Nadszedł sądny dzień dla zbrodniarzy, którzy równali groby pomordowanych bohaterów polskich z ziemią... żeby osierocone dzieci, żony i matki nie modliły się nad ich mogiłami...

Sądny dzień... sądny dzień...

I Nemezis mściwa w rozszałym gniewie za te zbrodnie piętrzy dziś trupy rosyjskie w Karpatach... topi rotę rosyjskie w bagnach mazurskich jak szczenięta... i piekielnym chichotem szepta Imperatorowi do ucha:

„Wot!... Smatri car-batiuszka, to twajo dzieło!“

Helena przebudziła się, powiodła wzrokiem po salonie i poszła do pokoju ojca. Drgnęła... na zboląły jej widok.

— Heluta, odwagi... odwagi — szeptał, kiedy się przytuliła do jego piersi, a w duszy powtarzał: „Sądny dzień... sądny dzień...“

Udany spokój ojca podzielał dodatnio na nerwy Heleny.

Patrzyła mu w oczy badawczo, a po chwili rzekła:

— Prawda tatko, że jemu, chociaż pojechał na pole bitwy, nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Przecież Moskale nie mają takich potworów, jak ten, co widziałam?

— Nie dziecko... nie... nie mieli i nie mają. Potwór, czyli jak podobno kanonierzy go „grubą Bertą“ nazywają, był tajemnicą naszych arsenałów, o której nikt nie wiedział, ukryto go starannie przed wroga okiem.

Rubel rosyjski nie złamał stempli tej tajemnicy, nikt o niej nie wiedział.

„Berta“ będzie rozmawiała z Moskalami na przyzwolną odległość dwudziestu kilometrów, zna ona dobrze „szarmanteryę“ Moskale względem naszych kobiet. Ignasiowi nie grozi zatem żadne niebezpieczeństwo — dodał po chwili, a w duszy myślał: „Żebyś ty wiedziała, w jakie on piekło wleci“...

— Dzięki Ci, Boże! — westchnęła, pożegnała się z ojcem i wyszła do ogrodu.

Jasna i ciepła noc wywabiła ją z pokoju ojca, chciała zostać sama ze swymi myślami.

Błogi spokój letniej, seledynowej nocy ukoił ją trochę.

Błądziła ścieżkami, przystawała przed koronami cudnych róż... wdychała głęboko, całą piersią, ich upojną woń... uśmiechała się do nich, pieściła je...

On was tak kochał — mówiła do nich — pielegnował, żebyście byli zawsze świeży, żebyście bogate w kwiecie czekały na moje przyjście... „na dzień dobry“.

Rozmawiał z wami, prosił was pieśczośliwie, żebyście mi nie skąpiły waszej czarownej woni, żebyście się śmiały ze słonkiem do mnie.

Zakołysały się lekko wiatrem, jakby składały ukłon królowi...

Dlaczegoż dziś zamkłyście wasze cudne kielichy, jakby serca wasze z tęsknoty umierały za tym, cośmy go wszyscy ukochali? Tak... tak... moje drogie, osierociałyście wy... i ja... po jego dobrym sercu.

Dziwnie była rozrzucona.

Chciała cały świat przycisnąć do piersi i prosić... błagać... żeby go bronił, zasłaniał.

Drżała o niego, bo kochała go miłością nadziejską.

On ją prowadził od dziecka przez życie, kolega i nauczyciel jej braci. Uczyl ją myśleć... czuć... i kochać... Hodował ją dla siebie, jak przepyszny kwiat... od pąka.

Niezmiennie delikatny w obejściu, a czuły na najmniejszy ból ludzki, w wypełnianiu obowiązków względem siebie i społeczeństwa nadzwyczaj sumienny, o ogromnym zasobie inteligencji i wiedzy, używał tych skarbów na uszlachetnienie drugich, a nie dla niewolniczej kariery. Surowy dla siebie i twardy jak kamień probierczy... żył i pracował dla dobra społecznego.

Ojciec Heluty bardzo go szanował i poważał, a reszta rodziny uważała go za swego. Matka jej z lubością patrzyła na nich oboje, a kiedy los nieubłagany uwziął się psuć ten idealny nastrój, czysty, silny i barwny w tonie akord życia tej zacnej rodziny, kiedy śmierć zaczęła z wolna okręcać loty wokół tego zacnego i patryarchalnego domu i postanowiła za wszelką cenę pochwycić matkę tych piskląt w swe straszne szpony, jak krwiożerczy sęp... kiedy cienie jej skrzydeł kładły się z wolna na oczy tej szlachetnej matrony, kiedy czuła, że